

Prof. dr hab. Jarosław Kłaczek
Instytut Historii i Archiwistyki UMK
Zakład Historii XX wieku
ul. W. Bojarskiego 1
87-100 Toruń

Toruń, 7 maja 2018 r.

Recenzja rozprawy doktorskiej Anny Jankowskiej-Nagórka pt. „Deteutonizacja” Dolnego Śląska w latach 1945-1949 jako przykład polityki władz Polski Ludowej wymierzonej przeciwko niemieźni” napisanej pod kierunkiem prof. dr hab. Mariusza Wołosa, Kraków 2017, s. 254.

Zacznę ocenę rozprawy doktorskiej od stwierdzenia, które powinno być na końcu. Bardzo dobrze się stało, że taka praca powstała i ogromnie się z tego powodu cieszę. Problem ten umyka bowiem często naszemu myśleniu, zapominamy już, że w 1945 r. 1/3 terenów dzisiejszej Polski to był „obcy kraj” de facto „kolonizowany” czy zasiedlany praktycznie od nowa. Zniknęły dotychczasowe wielowiekowe struktury społeczne, gospodarcze czy wyznaniowe. Przestał funkcjonować chociażby podział religijny ukształtowany przez reformację w 1517 r. Przestała istnieć też prowincja Prusy Wschodnie funkcjonująca pod różnymi nazwami w tej części Europy od XIII w., a wielowiekowa granica państwowa i religijna mazowiecko – pruska zniknęła. Takich przykładów można by podawać bardzo dużo, a stosowane często dla tamtych wydarzeń słowo „Atlantyda” uzmysławia ów swoisty „przewrót kopernikański” jaki dokonał się raptem w ciągu czterech pierwszych miesięcy 1945 r., gdy tereny te zostały zajęte przez armie sowiecką i polską.

Praca mi się podoba, nie mam fundamentalnych uwag do jej treści. Pozostaje mi jednak w obowiązku zwrócić uwagę na kilka kwestii wymagających moim zdaniem korekt, doprecyzowania lub niewielkich zmian. Przydadzą się one podczas prac nad wersją wydawniczą. Bo moim zdaniem praca ta powinna się ukazać drukiem.

Po pierwsze używane czasami przez Autorkę pojęcie „Ziemie Północne i Zachodnie” dla lat 1945-1949 nie jest adekwatne do ówczesnej rzeczywistości. Pojawiło się ono później, a tuż po 1945 r. Polską Zachodnią były nadal, zgodnie z przedwojenną terminologią, Wielkopolska i Pomorze Gdańskie.

Dyskusyjne jest także wymienianie przez Autorkę we wstępie jako sztandarowych prac podręczników Wojciecha Roszkowskiego i Andrzeja Paczkowskiego. Obaj Autorzy mają w swoim dorobku również monografie dotyczące tematu, a podręczniki mają zawsze trochę inny charakter.

Nie bardzo rozumiem i jest to dla mnie zagadką sposób patrzenia na dokumenty i kwerendę. Autorka napisała bowiem „Akta prowincjonalnych archiwów przeglądałem pod kątem jak największego zbliżenia ekipy rządzącej do obywatela, takiej której zarządzania i komunikaty dotyczyły każdego mieszkańca. Doprowadził ten sposób myślenia do tego, że zapoznałam się z dokumentami wytworzonymi przez starostów i zarządy miast lub gmin” (s. 6).

Ważną kwestią wspomnianą przez Autorkę, ale już nie rozszerzoną w pracy jest swoiście pojmowana „polonizacja budynków”. Nie mam w tym miejscu na myśli skuwania lub zamalowywania niemieckich napisów. O tym napisano bowiem wiele. Chodzi mi o inny proces, tj. malowania lub przemalowywania budynków. Na ziemiach niemieckich przeważnie dominowały budynki z czerwonej cegły. Czerwień jest zresztą kolorem charakterystycznym dla krajów północnych w sensie mentalnym i religijnym, tj. dla krajów protestanckich. Biel dominuje natomiast w krajach katolickich. Ten proces polonizacji i katolizacji zarazem krajobrazu przestrzennego możemy zaobserwować już w 1920 r., gdy do Polski powróciła Wielkopolska i część Pomorza Gdańskiego wraz z ziemiami chełmińską, michałowską i lubawską. Budynki publiczne zwłaszcza dworce były od razu malowane na kolor biały lub kremowy. Zdarzały się także ich przebudowy. Z krajobrazu zaczęła znikać także dachówka. Polecam drogę z Torunia do Olsztyna czy z Grudziądza do Malborka. Granica z 1945 r. nadal tkwi w krajobrazie, a czerwień zaczyna się po drugiej stronie dawnej granicy, tj. w Kołodziejkach czy Gardei. Po prostu na tej części tzw. Ziemi Odzyskanych przez kolejne lata nie chciano inwestować i zmieniać nic bo traktowano tam pobyt jako tymczasowy. Obsiewano jedynie pola, nie dbano natomiast o elewacje czy pokrycia dachów domów. Czasami długo nie zdejmowano nawet niemieckich wizytówek z drzwi. Taki przykład Autorka podaje ze Świdnicy. Z biegiem jednak czasu ten krajobraz spowszedniał i stał się tolerowanym i akceptowanym. Problem architektoniczny zasygnalizowała Autorka przytaczając na s. 10 informację o artykule Ł. Bugalskiego, *Kwestia odbudowy zabytkowych zespołów staromiejskich na Ziemiach Odzyskanych*, „Przegląd Zachodni”, nr 3(352) z 2014, s. 216.

W rozdziale pierwszym (s. 15) Autorka napisała „Jeśli wysiedlono z określonych terytoriów ludność niemiecką, to zrozumiałe jest, że nie mogło tam istnieć państwo niemieckie”. Dla mnie nie jest to takie oczywiste, zwłaszcza z punktu widzenia prawa międzynarodowego, czy braku formalnego traktatu pokojowego. Natomiast ma rację Autorka, że decyzja o wysiedleniu była przełomowa i de facto przesądzająca o kształcie polskiej granicy zachodniej. Dobrze także, że Autorka przypomniała dość niewygodną informację, że głównym - właściwie jedynym spośród Wielkiej Trójki – zwolennikiem oparcia granicy

polskiej na Odrze i Nysie Łużyckiej był nie kto inny, jak Józef Stalin. Informację o tym Autorka podaje jednak kilka razy, również w rozdziale drugim. Myślę, że jeden raz wystarczy.

Na stronie 16 Autorka stawia tezę, że Słowiańszczyzna w okresie średniowiecza sięgała do Renu. Raczej do linii rzeki Łaby i to w bardzo wczesnym, dla naszych ziem, okresie.

Z kolei na s. 17 pisze, że największe sukcesy wojsk hitlerowskich miały miejsce w latach 1941-1942. Zdecydowanie uważam, że były to lata 1940-1941.

Stosowane przez Autorkę pojęcie np. na s. 20 „lubelscy Polacy” wziąłbym w cudzysłów. To pojęcie określające komunistów zresztą razi. Nie spotkałem się na szerszą skalę z tym pojęciem.

Podoba mi się zapisane na s. 21 stwierdzenie odnoszące się do stosunku władz do ludności autochtonicznej. Słusznie zauważono, że każda władza prowadziła by wobec nich, w takiej a nie innej sytuacji jaka miała miejsce w 1945 r., politykę weryfikacji narodowościowej.

Na s. 22 Autorka w sposób ciekawy i celny zwraca uwagę na zakorzenienie się mitu Kresów Wschodnich propagowanych w literaturze i malarstwie. Niestety Kresy Zachodnie nie miały nigdy w literaturze i malarstwie tak plastycznego i idyllicznego obrazu. Były i są do dziś w masowym medialnym odbiorze „terra incognita”. Tu bym także zwrócił Autorce uwagę, że w tradycji polskiej Wrocław nie był zakorzeniony zbyt mocno. Z miast zachodnich były to głównie miasta, które przed rozbiorami należały do Rzeczypospolitej, tj. Gdańsk, Toruń, Poznań, ale Elbląg czy Piła już zdecydowanie mniej.

Na s. 22 Autorka pisze: „Lwów i Wilno były przedstawiane jako miasta leżące wśród niepolskiego morza mniejszości”. W pierwszym przypadku, tj. Lwowa przecież tak było. W samym mieście mieszkało ok. 20 % Ukraińców, a za rogatkami miasta zaczynał się już świat z dominującą ludnością ukraińską.

Na s. 23 przy opisie żądań czeskich wobec Kotliny Kłodzkiej, warto dodać, że Polacy z kolei ponownie żądali zwrotu Zaolzia – także odwołując się do tradycji historycznych ale i mając po swojej stronie argumenty etniczne.

Na stronie 23 Autorka podaje błędną informację, że „do 1947 roku Polska nie miała traktatu granicznego z Czechosłowacją”. Traktat graniczny z Czechosłowacją został zawarty 13 czerwca 1958 r., a w 1947 jedynie układ o przyjaźni.

Nie zgodziłbym się ze stawianą na stronie 24 przez Autorkę tezą, iż wyodrębnienie Ministerstwa Ziem Odzyskanych było spowodowane tym, iż minister administracji publicznej (nie państwowej jak napisała Autorka!) był Kiernik z Stronnictwa Ludowego. Po pierwsze był on z mikołajczykowskiego PSL i był zdecydowanym przeciwnikiem Stanisława Mikołajczyka

i jego polityki. Po drugie SL to nie byli żadni niekomuniści. Wprost przeciwnie ściśle współdziałali z PPR w rozbijaniu PSL, byli ściśle kontrolowani i filtrowani przez służby specjalne.

Na s. 26 doprecyzowałbym także, że „akcja Wisła” objęła również Bojków.

Z kolei wspomniana na kolejnych stronach informacja z kwietnia 1945 r. o planach wysiedlenia niemieckich mieszkańców Wrocławia nie dziwi. Taki przecież mechanizm był od samego początku stosowany, tj. tam gdzie to było możliwe jeszcze przed postanowieniami konferencji poczdamskiej. Wysiedlenia zaczęły się już zdecydowanie wcześniej, nie miały jednak tak zorganizowanego charakteru jak to miało miejsce od drugiej połowy 1945 r. Pomysł Bolesława Drobnera nie był więc czymś nadzwyczajnym, nie dziwiłbym się temu, przy okazji podając fakt jego rzekomo żydowskiego pochodzenia. Pomysł zgrupowania ludności niemieckiej w jednej z części miasta, w de facto getcie nie był też odosobniony. Taki mechanizm był stosowany też na obszarach już należących do Polski. Stosowany był i przez inne państwa. Dość wspomnieć wojny burskie i politykę Brytyjczyków wobec Afrykanerów czy też wysiedlenie Niemców z okupowanego przez Polskie Siły Zbrojne Haren (Ems) w Dolnej Saksonii. W Haren oddziały gen. Maczka pozostawiły jedynie burmistrza (na krótko) i zakonnice. W mieście osiedlili się natomiast Polacy. Stan taki trwał do 1948 r.

Na stronie 94 Autorka stawia tezę, że „Autochtoni byli dla władz grupą ludności traktowaną dwojako: z jednej strony dowodem na potwierdzenie historycznych praw do terenów Nowej Polski, a z drugiej byli podejrzewani o sprzyjanie niemczyźnie. Permanentna podejrzliwość wraz z różnymi szykanami spowodowała nieufność ludności rodzimej wobec polskości. Skrajnym przypadkiem takiej nieufności były późniejsze wyjazdy do Niemiec”. Uważam, że skrajny przypadek nieufności może objąć margines bądź mniejszość. Wyjechała natomiast większość. Czasami zbyt idyllicznie Autorka ujmuje problem adaptacji tej ludności i pozytywnej roli aparatu urzędniczego. Władze polskie nie miały zaufania do ludności rodzimej, uznając ją i przed wojną i po 1945 r. za element narodowo niepewny. Trudno więc się dziwić, że jej przedstawiciele mogli co najwyżej (i to do 1948 r.) liczyć w administracji wyłącznie na stanowiska wiceprzewodniczących lub innej formy zastępców. Z jednej strony miała dawać legitymację do posiadania przez Polskę tych ziem, z drugiej strony starano się maksymalnie ograniczyć możliwości sprawowania przez nią władzy na zamieszkiwanym przez siebie obszarze. Komuniści nie prowadzili bowiem w roku 1945, ani później polityki internacjonalistycznej w teorii zgodnej z wyznawaną przez nich ideologią, ale budowali konsekwentnie model państwa narodowego, tj. bez mniejszości narodowych i osób indyferentnych. Dla ludności wychowanej na pograniczu dwóch, trzech lub czterech kultur

(polskiej, niemieckiej, czeskiej, morawskiej) i ich innej od polskiej mentalności po 1945 r. nie było po prostu miejsca. Była to więc wizja bardziej zbliżona do ruchów nacjonalistycznych.

Trzeba jednak podkreślić, że w większości opisywanych zdarzeń Autorka realnie patrzy na opisywane sytuacje i dostrzega zachodzące tam procesy społeczne.

Zastanawiałem się w pewnych fragmentach tekstu czy Autorka nie myli autochtonów od ludności niemieckiej. Mam tu na myśli przykłady zamieszkiwania tej ludności w powiatach jaworskim, złotoryjskim czy w Kotlinie Kłodzkiej. Tam proces germanizacji przeszedł jeszcze w XIX wieku. Pozostały nazwiska, ale czy to kryterium? Na ziemiach centralnej Polski także w XIX w., w miastach nastąpił proces asymilacji przybyszów z Niemiec, których potomkowie mieszkają do dziś w Polsce i są Polakami z niemieckimi nazwiskami. Wydaje mi się, że w 1945 r. na wspomnianych już dalekich kresach Dolnego Śląska mieszkali już tylko Niemcy, posiadający czasami słowiańskie nazwiska, ale będący już trwale związani z kulturą i narodem niemieckim. Zaś w Kotlinie Kłodzkiej Niemcy częściowo czeskiego pochodzenia.

Dlaczego tak się stało? Zadecydowała o tym po prostu historia i inne koleje losu tych ziem w przeszłości. Dolny Śląsk w odróżnieniu od Górnego był w większości ewangelicki. W XVIII w. po wojnach śląskich większa część Śląska przeszła pod panowanie protestanckiego państwa pruskiego, które to podjęło szybką akcję germanizacyjną. Ideą Prus była zbudowanie państwa narodowego. Wspólne wyznanie przyspieszało procesy asymilacyjne. Pewnie gdyby historia potoczyła się inaczej i Śląsk pozostałby przy katolickiej Austrii ta germanizacja dolnośląskiej słowiańskiej ludności by nie nastąpiła w tak masowym stopniu. Dowodem na to jest pozostały przy Austrii Śląsk Cieszyński (historyczny fragment Górnego Śląska) gdzie protestantyzm wskutek różnicy wyznania nie przyspieszył, ale opóźnił procesy germanizacyjne.

Pewną pozostałością po skomplikowanych etnicznie losach Dolnego Śląska i swoście pojmanym paradoksie historii jest wrocławski ewangelicki kościół św. Krzysztofa. Do połowy XIX wieku odprawiano tam, w niemieckim Breslau, nabożeństwa w języku polskim. Dziś w polskim Wrocławiu spotyka się tam na nabożeństwach mniejszość niemiecka.

Czasami w pracy brakuje mi rozstrzygnięcia dalszych losów spraw, które Autorka podaje za przykład, ale nie ma ostatecznej konkluzji co się z daną sprawą ostatecznie stało np. starań dyrektora huty szkła z Polanicy-Zdroju o przyznanie mu polskiego obywatelstwa (s. 95).

Inna kwestia to stwierdzenie Autorki, że do połowy lat 80 Polska była krajem zlatynizowanym. Uważam, że do połowy lat 60, tj. do czasu zakończenia Soboru Watykańskiego II i wprowadzenia języków narodowych do liturgii kościelnej.

Z jedną kwestią w pracy jako historyk i prowadzący zajęcia, m.in. z geografii historycznej nie mogę się fundamentalnie zgodzić, tj. z pojęciem Opolszczyzny i Śląska Opolskiego. Z punktu widzenia geografii historycznej nie ma takiego regionu, a stolicą Górnego Śląska jest Opole.

Drugą kwestią wymagającą wyjaśnienia jest pojęcie: Śląsko-Dąbrowski Urząd Wojewódzki. Jest to umowna i nieformalna nazwa chociaż występowała na dokumentach co tylko pokazuje jaką wówczas przywiązywano wagę do nazw instytucji. Oficjalna do 1950 r. zawierała nadal wyłącznie słowo „Śląski”. Pojęcie „Dąbrowski” dodano do obiegu, żeby podkreślić Zagłębie Dąbrowskie – bazę działaczy komunistycznych, a do 1939 r. część województwa kieleckiego.

Autorka omawia w bardzo ciekawy sposób kwestię polonizacji imion i nazwisk. Było to czynione, m.in. z nadsyłanych ze śląskiego Urzędu Wojewódzkiego spisów imion uznanych za słowiańskie. Tradycję i przyzwyczajenia trudno jednak pokonać. Do dziś przecież na Górnym Śląsku imiona i nazwiska niemieckie przetrwały, w mniej rzucających się w oczy formach np. Erwin czy w języku potocznym. Do lidera zespołu Dżem Ryszarda Riedla koledzy z zespołu zawsze mówili „Richard”.

Od strony 103 zaczynają się rozważania o Warmii i Mazurach. Moje pytanie brzmi. Jaki to ma związek z wpisaniem w tytuł pracy Dolnym Śląskiem? Ziem do 1945 r. będących częścią Niemiec jest w tej pracy więcej. Autorka opisuje przecież sytuację także na Górnym Śląsku, ziemi lubuskiej, Nadodrzu oraz trochę na Pomorzu Zachodnim.

Dlatego postuluję w tym miejscu, aby w przypadku druku zmienić tytuł na: „Deteutonizacja” Ziemi Odzyskanych w latach 1945-1949 jako przykład polityki władz Polski Ludowej wymierzonej przeciwko niemczyźnie”. Taka zmiana usankcjonuje po prostu pełną treść zawartą w tej wartościowej pracy.

Wracając do tego „północnego wątku” Autorka na stronie 104 formułuje pogląd, iż „*Od początku objęcia części byłych Prus Wschodnich przez Polskę, tamtejsze tereny były narażone na wszystko, co najgorsze, o czym można dowiedzieć się z miesięcznych sprawozdań Pełnomocnika Rządu. Miało to również wpływ na postawy Warmiaków i Mazurów, którzy swoją ucieczkę od polskości zaczęli wkrótce po nastaniu polskich władz*”.

Czyżby tylko taka przyczyna? Autorka sama wspomniała we wcześniejszych fragmentach pracy o problemie Mazurów działdowskich w okresie międzywojennym. Po prostu ludność

autochtoniczna reprezentowała inną mentalność, kształtowaną czasami przez setki lat. Po prostu mówiąc trochę kolokwialnie to musiało nie zagrać. Wśród tej ludności w 1945 r. panowało już także inne poczucie narodowe, może czasami bardziej regionalne, ale na pewno nie polskie.

Przy innym opisie pada stwierdzenie: *„Sytuacja w regionie była tragiczna, nie było bezpiecznie, mieszkańców nękały częste wypadki gwałtu i rabunku ze strony żołnierzy radzieckich. Brak poczucia bezpieczeństwa wzmagał fakt, że milicja nie wykonywała należycie swoich zadań”*. Warto by było jednak odpowiedzieć sobie na pytanie. Na jakim poziomie moralnym i edukacyjnym była większość ówczesnych funkcjonariuszy będący często z przypadku pracownikami tej instytucji? Dawnych „granatowych” policjantów do służby zaś nie przyjmowano. Po ich roli w systemie okupowanej przez Niemców Polski byłoby to zresztą trudne.

Inne polemiczne mazurskie i warmińskie kwestie są następujące. Autorka pisze na s. 104, że *„Już w lipcu 1945 wpłynęło 1028 wniosków o stwierdzenie polskiego pochodzenia. Liczba ta obrazuje początkową fascynację Mazurów i Warmiaków nową władzą polską, a jednocześnie uzmysławia jak bardzo zaprzepaszczono późniejszą możliwość pozyskania tej grupy ludności”*. Fascynację? Moim zdaniem była to raczej chęć przetrwania okresu tymczasowego. Nikt nie liczył się wówczas z trwałością granic. Myśleli tak zarówno napływowi chcący najchętniej wrócić z powrotem do swojej „małej ojczyzny” jak i autochtoni. Podobne procesy na przeczekanie wystąpiły przecież wśród ludności polskiej w czasie II wojny światowej na ziemiach wcielonych bezpośrednio do Rzeszy.

Inne narzucające się doprecyzowanie wynika z następującego zdania: *„Region od jesieni 1944 roku był bezlitośnie traktowany przez Armię Czerwoną”*. Nie, bo miało to miejsce dopiero od stycznia i lutego 1945 r. Jesienią 1944 r. Rosjanie zajęli jedynie wieś Nemmersdorf, dokonali tam zbrodni na ludności cywilnej, ale następnie zostali stamtąd wyparci przez wojska niemieckie.

Przy zdaniu *„Ludność mazurska, w większości wyznania ewangelickiego, traktowana była jak Niemcy, mimo bezsprzecznie słowiańskiego pochodzenia”* może przydałaby się jednak refleksja, że dotyczyło to większości, ale nie wszystkich. W mazurskich żyłach płynęła też krew spolonizowanych Prusów bądź też Niemców. Przez kilka stuleci południe Prus polonizowało się językowo. Proces ten zatrzymał się dopiero w XVIII wieku.

Na stronie 107 Autorka stwierdza: *„Czasami stosunek do Mazurów ludności osadniczej był po prostu wrogi”*. Żeby zrozumieć to zjawisko można sobie postawić pytanie. Jaki był poziom ówczesnego wykształcenia, skolaryzacji i alfabetyzacji Polaków. Niestety,

ale jeden z niższych w ówczesnej Europie. Jakie pojęcie o nowym terenie i jego mieszkańcach mieli osadnicy. Identyfikowali oni swój świat głównie wokół wyznania. W takim poglądzie ugruntowywało ich też duchowieństwo, a przed wojną duża część partii politycznych. Czy inaczej patrzono na działdowskich Mazurów w okresie międzywojennym? Oni też w większości opuścili Polskę i to przed 1939 r. I przed 1939 i w 1945 r. dla przeciętnego przybysza każdy autochton to był Niemiec. Sami Mazurzy też się nie uważali za Polaków patrząc na otaczający ich bliski świat konfesyjnie. Od XIX wieku ugruntował się wśród nich pogląd, że Polak jest wyłącznie katolikiem. Stąd też po 1945 r. zaczęły występować procentowo niewielkie konwersje na katolicyzm osób chcących się wtopić w nową rzeczywistość i zapisując się do „polskiego Kościoła”. Podobne zjawisko wystąpiło także na przełomie lat 40 i 50 po tzw. akcji paszportyzacji czyli nadawania polskiego obywatelstwa. Mazurzy, którzy takie obywatelstwo przyjęli uznawali, że stali się urzędowo Polakami i należy w związku z tym uczęszczać do „polskiego Kościoła”.

O funkcjonującym w codziennym życiu stereotypie pisał, m.in. senior diecezji mazurskiej ks. Alfred Jagucki. W swoich wspomnieniach zamieścił on dwa charakterystyczne przykłady, które pozwolę sobie podać. *„Władze centralne postanowiły, by wszystkich Mazurów uznać za Niemców, a obywatelstwo polskie przyznać indywidualnie po przeprowadzeniu specjalnej weryfikacji narodowej. Jak zauważyłem, nie było problemu przy przyznawaniu obywatelstwa polskiego katolikom, ponieważ narodowość była utożsamiana z wyznaniem. Z zakorzenionego wśród wielu katolików sloganu, że Polak to katolik, jednoznacznie wynikało, że w Polsce jest tylu Polaków, ilu w niej katolików. Z takiej logiki wypływał uproszczony wniosek, a mianowicie, że jeśli Polakiem jest koniecznie katolik, to katolik jest obowiązkowo Polakiem. Pamiętam z czasów okupacji, że osoby, które były wysłane na roboty przymusowe do Bawarii, były przekonane, że są wśród Polaków, różniących się od nich tylko tym, że mówią po niemiecku. Natomiast Mazur – ewangelik, mówiący po polsku, to Niemiec – Szwab. Mówiono mu, że otrzyma obywatelstwo polskie, jeżeli stanie się katolikiem, czyli – jeżeli przyjmie polską wiarę. Pewna Mazurka, którą zapraszałem na nabożeństwo, powiedziała mi ze smutkiem: – Ja byłam ewangeliczką. A gdy przyjąłam polskie obywatelstwo, to mówią mi, że teraz jestem katoliczką”¹.*

Drugą sytuację przeżył Jagucki podczas podróży pociągiem z Nidzicy do Szczytna. Wdał się tam w rozmowę z duchownym katolickim, który na informację, że rozmawia z księdzem

¹ Cyt. za A. Jagucki, Mazurskie dole i niedole. Wspomnienia i refleksje z lat pracy na Mazurach, Olsztyn 2004, s. 79. Podobne odczucia mieli Mazurzy w Białej Piskiej. Przekonał się o tym osobiście senior ks. Edmund Friszke, który od 9 do 12 września 1947 r. wizytował tamten obszar. Dane za Archiwum Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, Diecezja Mazurska, pismo ks. Edmunda Friszke z 13 IX 1947 r. do bp. Jana Szerudy, k. nlb.

ewangelickim stwierdził: „– To pan jest Niemiec! [...] W dalszym toku rozmowy wynika kwestia, jak mamy się nawzajem tytułować, ponieważ ja mówiłem „ksiądz”, a on zwracał się do mnie przez „pan”. On nadal twierdził, że duchownemu ewangelickiemu nie przysługuje tytuł „ksiądz”. Potem zwróciłem się do wszystkich w przedziale: – A czy wiecie państwo, że Hitler był katolikiem, a Goebbels był nawet wychowankiem jezuitów?

– Jak to?! – zawołał ktoś z oburzeniem. – Oni mieli polską wiarę i nas Polaków prześladowali. Wtedy poznałem, że podróże kształcą”².

Autorka uważa, że przed 1944 r. ludności pochodzenia słowiańskiego było ok. 60 %. Było jej w południowych powiatach mazurskich zdecydowanie więcej, blisko 80 %. Tu nie przybywało ludności z głębi Rzeszy, z Prus Wschodnich się emigrowało za pracą (Ostflucht). Miejscowa ludność zaś się stopniowo germanizowała. Było to widoczne zwłaszcza wśród świeckich i duchowych elit. Każdy awans społeczny wiązał się z przejściem do tzw. kultury dominującej, tj. niemieckiej. Jest to normalne i często spotykane zjawisko. Występowało przecież do XIX wieku na terenie ziem litewskich gdzie następowała w podobnej sytuacji polonizacja.

Nie wiem o jakiej elicie wschodniopruskiej Autorka wspomina. Czy jakaś po przejściu frontu i oddziałów filtracyjnych NKWD tam pozostała?

Apele Polskiego Związku Zachodniego do władz aby wysiedlić niemieckich pastorów (w większości mazurskiego pochodzenia) były zaś zupełnie zbędne. W owym czasie nie było ich, gdyż prawie wszyscy zostali wcieleni jeszcze w czasie wojny do Wehrmachtu, a po jej zakończeniu pozostałych nielicznych władze polskie od razu deportowały, m.in. Fryderyka Rządkiego. Na terenach Warmii pozostawiono natomiast sporo duchownych katolickich – uznano ich bowiem za Polaków.

Autorka stawia tezę, że władze nie rozumiały miejscowej sytuacji etnicznej (nie pierwszy i nie ostatni raz zresztą) i postępującego oddalania się Mazurów od polskiej tożsamości. Ja bym takiego słowa nie użył, ale raczej wskazałbym słowo „korzenie”. Tak samo dobrze by było doprecyzować stwierdzenie Autorki, iż w XIX wieku odżyła wśród Mazurów i Warmiaków tożsamość narodowa (s. 131). Na pewno tak nie było, postępowała natomiast stale germanizacja.

Wydaje się, że najlepszą charakterystykę fatum, jakie zawisło nad Mazurami w XX wieku postawił jeden z przedstawicieli tej społeczności - Adolf Szymański. Jeszcze w 1922 roku w swojej rozprawie doktorskiej, obronionej na Uniwersytecie w Królewcu napisał on, m.in.:

² Cyt. za A. Jagucki, op. cit., s. 88.

„Osiągnięto tutaj wzorowe <splendid isolation>, świadome odosobnienie szczepu słowiańskiego od polskiego narodu, nie uzyskując równocześnie złączenia z niemczyzną”.

Na stronie 169 Autorka dobrze wczuwając się w myślenie ludności autochtonicznej z powiatów brzeskiego, namysłowskiego i sycowskiego, którzy nie poddali się procedurze weryfikacyjnej nazwała tę decyzję „ucieczką od polskości”. Spowodowało ją, jak sama pisze, „wiele czynników”, przede wszystkim zabór mienia, napady, ale przede wszystkim mur obcości i permanentne traktowanie ich przez administrację i przyjezdnych jako ludność niemiecką. Zdecydowanie najwięcej empatii w zrozumieniu złożoności tamtejszych spraw wykazywali działacze Polskiego Związku Zachodniego i Instytutu Śląskiego. Nie była to jednak grupa liczna, ani w pełni mogąca podejmować samodzielnych działań politycznych.

Bez wątpienia ważną rolę w podsycaniu nastrojów antyniemieckich odgrywała prasa. A ten rodzaj mediów był wówczas głównym pasem transmisyjnym polityki władz państwowych i lokalnych. Na łamach gazet żądano wciąż szybkiego usunięcia wielowiekowych pozostałości niemczyzny. Na zajętych terenach pozostały jednak np. potężne zapasy wzorów dokumentów urzędowych, formularzy, naklejek, opakowań czy biletów. Trudno było je zastąpić w szybkim czasie. W efekcie dochodziło czasami do śmiesznych, opisanych w pracy sytuacji np. prezydent Zabrze miał zakupić w kasie dworcowej bilet z obowiązującą od 1915 r. niemiecką nazwą miasta Hindenburg (od 1918 z dodatkiem Oberschlesien).

Na koniec jeszcze drobne uwagi techniczne.

Układ przypisów, w przypadku publikacji podzieliłbym na osobną numerację dla poszczególnych rozdziałów. Przypis nr 40 jest moim zdaniem zupełnie zbędny.

Zamieszczone na stronach 33-35 fotografie spod Grudziądza nijak nie pasują do tytułu pracy nawet po jego rozszerzeniu. Obszar ten nie spełnia bowiem kryterium tzw. Ziemi Odzyskanych i jest obszarem jakby to powiedzieli mieszkańcy Górnego Śląska „starej Polski”. Zdjęcia nie pasują także do dalszych fotografii z Nysy.

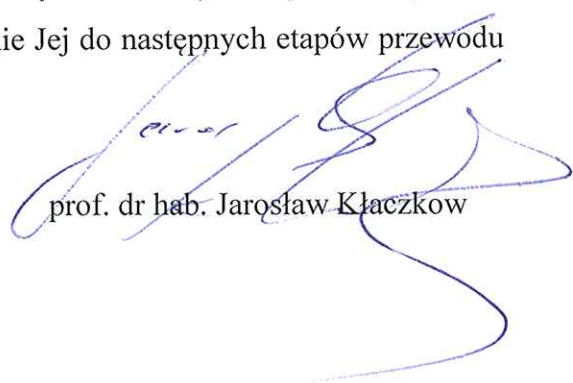
Na s. 90 Wustewaltersdorf – brak polskiej nazwy miejscowości. Konsekwentnie używałbym także nazwy „Werwolf”, a nie „Wilkołak”. Unikałbym zwrotów publicystycznych jak np. bezpieczeństwa (s. 47).

Na s. 64 została powtórzona została dwukrotnie myśl o orędziu Piusa XII o „niemieckim wschodzie”. Podobnie na s. 128 – 129 powtórzono po raz drugi informacje o nadawaniu do czasów Soboru Watykańskiego II tylko takich imion, które miały odpowiednik u świętych.

Mimo wskazanych w recenzji kwestii polemicznych z pełnym przekonaniem uważam, że Autorka poradziła sobie w bardzo dobry sposób z podjętym tematem. Nie jest on łatwy, dotyka bowiem całych środowisk ludzi, których dziś w Polsce już nie ma lub tworzą w większości koła mniejszości niemieckiej. W efekcie powstał udany portret środowiskowy ludności rodzimej ukazujący ich stosunek do niemieckiej przeszłości i polskiej teraźniejszości, ich zachowania, lęki, oczekiwania.

Godne pochwały jest stawianie często przez Autorkę pytań i szukanie na nie odpowiedzi. Ma też dużo empatii dla tej ludności. Tekst jest przez to bardziej autorski i nie ma charakteru sprawozdawczego, tj. wyłącznie tego co dany autor znalazł w dokumentach. Nie, tego w tej pracy nie ma, a Autorka bardzo dobrze rozumie problem, którym się zajęła.

Pani mgr Anna Jankowska – Nagórka w pełni spełnia kryteria ustawy o stopniach i tytułach naukowych z 14 marca 2003 r. i wnoszę o dopuszczenie Jej do następnych etapów przewodu doktorskiego.



prof. dr hab. Jarosław Kłaczek